

WYDAWNICTWA ROK XVIII

PRÓMYK

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



DO MIASTA.

Mal. A. Wierusz-Kowalski.

WARSZAWA, ŚRODA 3 STYCZNIA 1934 R.

N^o 18

DZIAŁ ROZRYWEK

ZARTOBLIWE PYTANIA.

Śród 25 żołnierzy jest sześciu takich, bez których pozostali obejść się nie mogą; jak oni się nazywają?

Które belki nie nadają się do żadnej budowy?

ZAGADKA ARYTMETYCZNA.

Napisz kreskę, dwa kółeczka jedno nad drugim, kreskę i siekierkę w jednym rzędzie; w drugim kreskę, kółko i kreskę. Dodaj to wszystko, a otrzymasz datę najważniejszego dla Polski zdarzenia.

SKŁADANKA.

Trzy *pierogi* zsuń sobie z półmiska, ale ta potrawa jeszcze zyska, jeśli dodasz dwa plastry *pieczeni* i dwa—niech się dobrze przyrumieni—*stoniny*; ten wiktuałów zbiór da ci nazwę pięknych polskich gór.

ZAGADKA 1.

Kółko, a przy niem kreska bliżutko —
dwie kreski, trzecia z kropką

malutką —
kółko i laska, lecz przekreślona;
robota zaraz będzie skończona.

Wszystek nad dzieciną czuwa,
wszelkie zło od niej odsuwa.

ZAGADKA 2.

Narysuj laskę, przekreśl ją w górze —
kółko — wąż — drugie kółko
i wąż ze znaczkiem. *Wszystek* — nieduże
to ryba,
jedna z najsmaczniejszych chyba.

ZAGADKA 3.

Wyrazy krótkie — to ich zaleta:
gdy *e* ma w środku — dawny poeta;
gdy *a* — dusza dostać się tam rada;
gdy *o* z kropką — owadów gromada.

ZAGADKA 4.

W samogłoskę wsadź spółgłoskę
a będziesz miał roślinę pastewną. pewną.

ZAGADKA 5.

Półkiszyc — laska w górze
i kółko. Na towary nałożona
opłata *wszystko*: zagadka skończona.
przekreślona —

ZAGADKA 6.

Znaleźć najkrótsze trzy rzeczowniki:
pierwszy jest owadów mieszkaniem;
drugi — części wozu nazwaniem;
trzeci — piasku z wodą zmieszaniem.
Kto da prędzej szukania wyniki?

ROZWIĄZANIE.

Z Nr. 11. Szarady: Mod—li—twa; Wężownicy geograficznej: San, Nil, Ural, Peru, Pińsk, Kreta, Tamiza, Madryt, Moskwa; Ile drzewek: 12 jabłoni, 8 grusz, 4 śliwy; Zadania: rozwiązanie dowolne.

Z Nr. 12. Szarady: Nietoperz; Zagadka 1: ćma; Zagadki 2: sum.

Z Nr. 16/17. Szarady 1: Przygoda; Zagadki: Wór—rów; Szarady 2: Tab—li—ca (bat, li—ca).

HUMOR.

BRAT I SIOSTRA.

— Halinko kochana, czy przyszyłaś guzik do mego palta?

— Nie, Zbyszku, nie mogłam znaleźć guzika, więc zaszyłam dziurkę.

NA LEKCJI HISTORJI ŚWIĘTEJ.

Nauczyciel: — Józek, jak się nazywał ten ptak, którego Noe pierwszego wypuścił z Arki zaraz po potopie?

Józio: — Jakbym go zobaczył, tobym na pewno poznał, proszę Pana. Bo jeżeli miał żółty brzusek, to był ani chybi trznadel.

PŁOMYK

tygodnik ilustrowany
dla dzieci i młodzieży



NOWY ROK.

Uśmiechnięty Roczek Nowy
wychylił się z nieba,
poglądając, czego ludziom
najbardziej potrzeba.

Czy bogactwa, srebra, złota,
czy też może sławy?

Takby wszystkim chciał

dogodzić

Nowy Rok taskawy.

Ale ujrzał, że w pałacach

tza taksamo płynie,

jak w lepiance, na poddaszu,

albo w suterynie.

Że ci sławni, wielcy, możni

też się smucą skrycie

i wzdychają:

— Roku Nowy,

daj nam lepsze życie!

Więc zawołał Rok młodzutki:

— Kiedy złoto, sława
szczęścia ludziom dać nie może
i płacz nie ustawa,

ja wam, dzieci, dam czar-ziele,
a wy sobie z niego

dobędziecie szczęście, radość
dla świata całego.

Zielem tem jest ukochanie

prawdy, dobra, piękna.

Niech dla tego, co szlachetne,

biją serca tętna.

Piękno cuda wam odstani,

prawda — nauk dziwy,

a przez dobro się staniecie

mocni i szczęśliwi!

STEFANJA OTTOWA.



SŁOŃCE.



Egipski bóg słońca Ra. Na głowie ma tarczę słoneczną, około której owijają się żmije, symbol królewski. W prawej ręce trzyma znak życia, a w lewej berło, godło władzy. Nad postacią boga jego imię, wypisane hieroglifami i kółko z punktem pośrodku, znak słońca.

W najwcześniejszym dzieciństwie świeciło już nad nami słońce i tak przywykliśmy do tego, iż wydaje nam się rzeczą zupełnie naturalną, że ta wielka ognista kula darzy nas światłem i ciepłem.

A jednak czasem przychodzą nam na myśl pytania: — Jak daleko jest ona od nas? Jakiej jest wielkości? Z czego jest zbudowana?

Nauka odpowiada nam na te pytania, lecz wielkości, jakie nam podaje, trudno objąć wyobraźnią. Obliczono, że odległość ziemi od słońca wynosi prawie 150 milionów kilometrów. Gdyby dziś wyruszył z ziemi pociąg bardzo szybki i gdyby przebiegał 90 kilometrów na godzinę, zmierzając prosto ku słońcu, zajęłoby na miejsce dopiero po 190 latach!

Wielkość słońca również obliczono: w jednej kuli słonecznej możnaby pomieścić kilkadziesiąt tysięcy kul ziemskich, a gdybyśmy wyobrazili sobie ziemię, jako drobniutkie ziarnko grochu, wówczas słońce byłoby przy niej kulą wielkości piłki nożnej. To też całego roku potrzebuje to „ziarnko grochu”, aby obieć dookoła „piłki”. Obraca się słońce dokoła swej osi, tak samo, jak nasza ziemia, lecz podczas gdy ziemi wystarczy doba dla wykonania takiego obrotu, słońce zużywa na to prawie 25 naszych dni i nocy.

Uczeni potrafili również zbadać, z czego słońce jest zbudowane, i przekonali się, że z tych samych pierwiastków, co i nasza ziemia.

Słońce i ziemia stanowiły zapewne ongi jedno ciało niebieskie, które dopiero później zostało rozerwane. Kula ziemską, znacznie mniejszą, ostygła wcześniej i utworzyła się na niej twarda skorupa, podczas gdy słońce dotychczas jest rozpaloną, świecąca masą. Gdyby zagasło, obróciłibyśmy się w bryłę lodu. Nawet powietrze zamarłoby nad ziemią i wszelkie życie przestałoby istnieć.

To też narody starożytne oddawały cześć słońcu, jako panu życia i śmierci. Egipcjanie czcili je, jako dobrotliwego boga Ra z głową jastrzębia. Babilończycy, widząc w nim symbol porządku i punktualności, wierzyli, iż bóstwo słońca, Szamasz, dało ich królowi pierwszy kodeks praw już około dwóch tysięcy lat przed Chrystusem. Wedle starożytnych

Greków bóg słońca, Helios, wjeżdżał co rano na niebo na rydwanie, zaprzężonym w cztery białe konie. W Persji również czczono boga słońca, Mitrę.

My, chrześcijanie, nie oddajemy słońcu czci boskiej, lecz pozostało ono dla nas symbolem dobra, zbawienia, Boga. Mówimy przecież o „promieniach łaski”; modląc się za umarłych, prosimy: „a światłość wiekuista niechaj mu świeci”; w litanji nazywamy Jezusa Chrystusa „Słońcem sprawiedliwości”, a monstrancji, w której umieszczona jest Hostja, nadałmy kształt promiennego słońca. Boże Narodzenie obchodzimy w czasie, gdy po najdłuższej nocy następuje przesilenie i dnia zaczyna przybywać, a radosne Święto Zmartwychwstania, gdy dzień staje się dłuższy od nocy, jakgdyby odnosząc nad nią zwycięstwo. Nawet w języku potocznym używamy takich zwrotów, jak np. „cień smutku”, lub „lepszy dzień nam świta” i t. p. Możemy więc zrozumieć uczucia tych naszych odległych przodków, którzy słońcu oddawali cześć boską.

M. Niklewiczowa.

HISTORJA O WOJTUSIU KUBLIKU I TRZECH KRÓLACH.

Był Wojtuś chłopcem i do tańca i do różańca, ale w żaden sposób nie chciał szewcem zostać, chociaż gorąco tego pragnął jego ojciec. Bo i jakże? Z dziada-pradziada zawsze najstarszy syn z rodu Kublików



... zrobił nawet dziada z pod kościoła...



brał się do kopyta i dratwy. Buty z Kublikowego warsztatu słynne były nie tylko w Drozdzkowie, ale w całym powiecie.

Próżno jednak biadał ojciec, że z Wojtusia pociechy nie ma, bo ani go kijem do szewskiej roboty napędzić, próżno lamentował i po dobrej woli chłopcu tłumaczył, że robić buty to szlachetne rzemiosło, próżno wskazywał dla przykładu na duży portret pułkownika Jana Kilińskiego z Warszawy, który wielką sławą się okrył w powstaniu Kościuszkowskim roku pańskiego 1794, a był przecież szewcem.

Wojtuś słuchał jednym uchem, co ojciec mówił, a po swojemu myślał: — Ani mi się śni.

Gdy wrócił ze szkoły, to rysował i lepił różne figurki. Lepił z chleba, z gliny i z czego się tylko dało: psy, koty, konie i wróble. Ba! zrobił nawet dziada z pod kościoła, Ściągałę, a utrafił tak dobrze, że Ściągała od razu siebie poznał i uśmieł się serdecznie, pokazując dwa wyszczerbione zęby, zupełnie takie, jakie widać było w ulepionej przez Wojtusia figurce.

Tylko szewc Kublik wcale się nie cieszył z lepienia Wojtusia i ciągle pokrzykiwał na syna:

— A dałyś już raz spokój z tem papraniem w glinie! Na zduna i tak cię nie dam, a garncarzem też nie zostaniesz, tylko szewcem, rozumiesz, tylko szewcem!

A Wojtuś słuchał i myślał po swojemu:

— Żeby nie wiem co, to szewcem nie będę, a figurek lepić nie przestanę i basta!

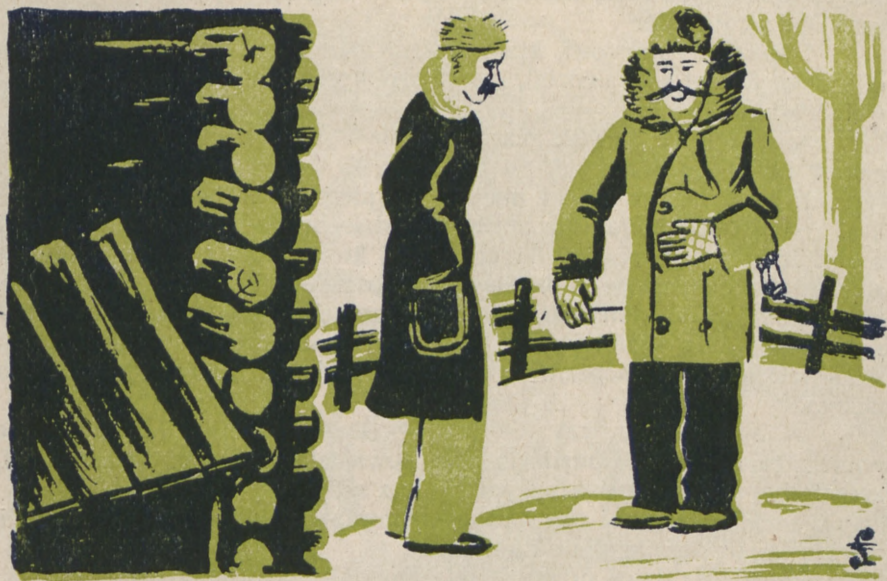
Tylko że bieda była z lepieniem, bo ojciec, widząc, że próśby i perswazje na nic, zawziął się okrutnie i pilnował, żeby Wojtuś gliny do domu nie znosił, nie lepił i nie malował.

To też dopiero, gdy stary Kublik do miasteczka na jarmark piątkowy z butami pojechał, albo gdy w niedzielę poszedł do organisty Dudzika na herbatę i „politykę”, jak nazywał czytanie gazet, siadał Wojtuś w kuchni pod oknem, na skrzynce ustawiał ulepione figurki, malował je, albo lepił nowe. Czasem nic a nic nie chciało mu się udać, albo usłyszał w sieni kroki ojca i całą robotę musiał prędko do pieca pakować, żeby łajania uniknąć. Potem wynalazł sobie warsztat w starej szopie organisty Dudzika. Szopa przylegała jedną ścianą do podwórka Kublików, mógł więc Wojtuś w jednej chwili przybiec do domu, gdy go zawołano. Najgorzej jednak było z lepieniem w zimie. Drętwiały Wojtusiowi palce na kość i nieraz dla rozgrzewki musiał robotę przerywać i rozcierać ręce z całej siły, ale lepienia nie rzucił.

Pewnego razu siedzi Wojtuś w szopie, gdy przez cienką ścianę z desek doleciał go głos organisty Dudzika i płaczące zawroscenie kościelnego Powoła.

— A jakże ja to powiem jegomości? — mówił Powoła. — Jakże ja to powiem?...

— E, nie martwcie się, Powoła — pocieszał organista. — Może



... żałośniej jęknął Powąła.

w mieście takich trzech króli kupimy i nic nie trzeba będzie proboszczowi mówić. Ale jakże się wam mogło przytrafić takie nieszczęście?

— A co to, nie wiecie, panie Janie, — mówił do organisty Dudzika kościelny Powąła, — że mi te bolszewiki tak paskudnie prawą rękę przetrącili, że władzę w niej często tracę, więc jakem otworzył skrzynię, co to wiecie, stoi w kruchcie, wyjmowałem żłóbek i Matkę Boską i świętego Józefa i pasterzy, żeby wszystko na wigilję przygotować i na ołtarzu poustawiać, no to jakoś cosik źle chwyciłem i Trzej Królowie bęc! na ziemię. Oj, żeby to jeszcze na ziemię... — żałośniej jęknął Powąła.

— Oj, żeby to na ziemię! — powtórzył organista Dudzik.

— Tak, ale na kamienie — dokończył smutnie Powąła. — Ani, kruszyneczki nie zostało. Król Baltazar potłukł się na drobne kawałki i Kacper i Melchjor... O, mój Boże, mój Boże! Wszyscy bez rąk, bez głowy... — jęczał Powąła.

— I, cicho bądźcie, nie lamentujcie daremnie — uspokajał Dudzik, — może w mieście kupimy Trzech Króli. I tak wigilja w sobotę, a dziś mamy środę, a Trzej Królowie dopiero szóstego stycznia przyszli do Betleem pokłonić się Panu Jezusowi... Mamy dużo czasu, jakoś się poradzi.

— Ano, tak — powtórzył trochę uspokojony Powąła, — może kupimy w mieście Trzech Króli... Mamy czas. Czy tylko dostaniemy takich samych? — zaczął się trapić znowu.

— E, takich samych, to pewno nie, ale zawsze Trzech Króli.

Ale co tam się martwić, chodźcie do mnie, zagrać się trochę — zapraszał Dudzik Powałę.

I poszli. Wojtusiowi, który słyszał rozmowę Powwały z Dudzikiem biło serce z całej siły, siedział, jak na szpilkach, miał ochotę wybiec i zawołać:

— Niech się pan nie martwi, panie Powąła, zrobię Trzech Króli, nawet nikt nie pozna...

Już, już się podrywał z miejsca, ale nie poszedł, bo pomyślał sobie:

— Co będzie, jak nie potrafię? Gdzieżbym to umiał Trzech Króli zrobić, takich wspaniałych Trzech Króli, którzy stali co roku w święta Bożego Narodzenia w drozdzkowskim kościele!... Baltazar w płaszczu szkarłatnym aż do samej ziemi, ze złotą koroną na głowie, Melchjor z długą czarną brodą w złotej sukni i białym turbanie i trzeci — taki siwiuteńki, jak gołąbek, Kacper, z wyciągniętymi rękoma w stronę Jezusowego żłóbka...

— Niewiadomo, czy się uda — myślał Wojtuś i dlatego nie pobiegł za Powałą i Dudzikiem i nie powiedział, że zrobi Trzech Króli, zresztą bał się, że organista wypędzi go z szopy.

— Lepiej zabrać się stąd — pomyślał, odsunął deskę w ścianie i przez szparę wymknął się do domu.

Przez cały dzień przypominała mu się podsłuchana rozmowa.

Wieczorem długo nie mógł zasnąć, bo co zmrúży oczy, to widzi jak żywych Trzech Króli z drozdzkowskiego kościoła. Uśmiechają się do niego przyjaźnie, a siwiuteńki Kacper nawet rzucił mu dukata. Usłyszał Wojtuś cichy brzęk złota, otworzył oczy i znowu myślał o zmartwieniu kościelnego Powwały i o tem, czy organista przywiezie z miasta Trzech Króli.

Już usłyszał, jak zadzwoniły dzwonki u sanek organisty, widział, jak Dudzik smutnie kiwa głową, a kościelny Powąła oczy rękawem obciera — a potem Dudzik odsłania połę kożucha i wyjmuje dużą paczkę...

Uradował się Powąła i zaśmiał się: — Ha! Ha! Ha! Ha! — tak głośno, aż się Wojtuś obudził, ale zaraz przytulił się mocno do poduszki, kołdrę naciągnął na głowę, żeby zasnąć, cóż kiedy sen ani rusz nie przychodził!

Przewraca się Wojtuś z boku na bok. Wyrztał raz z pod kołdry, myśląc, że może już świta, ale za oknem ciemno, jak w bucie.

Wyrztał za chwilę drugi raz.

— Eh, znowu ciemno — pomyślał.

Wyrztał trzeci... i oniemiał z zachwyty, bo na niebie płonęła wielka gwiazda, z długim, skrzącym się ogonem na pół nieba. Przy jej blasku dostrzegł Wojtuś ni mniej, ni więcej, tylko Trzech Króli...

Poznał ich odrazu. Ten najbliżej okna, to siwiuteńki Kacper, ten w środku, w purpurowym płaszczu, to Baltazar, a po lewej stronie, w białym turbanie na głowie — Melchjor...

Przystanęli pod oknem, uśmiechnęli się wszyscy trzej do Wojtusia, a on uśmiechnął się także i pięknie się im pokłonił, aż do samej ziemi.

Dokończenie nastąpi.



Łuckiewicz

... dostrzegł Wojtuś ni mniej, ni więcej, tylko Trzech Króli...



Szły zwierzątka z ochotą...

NIEDŹWIEDŹ W BETLEJEMSKIEJ STAJENCE.

Szła gwiazda betlejemska w zimową noc daleką i niosła dziwne wieści uriwiskom, borom, rzekom i szeptała, że wieści wszystkim stworzeniom powie: o świętej nocy dziwnej, o świętej nocy cudzej, gdy do stajenki śpieszą pasterze i królowie, witają Pana moźni, witają biedni ludzie.

I ocknęły się w borach, w promieniach gwiazdy bożej, zaspane w swoich norach, gromady leśnych stworzeń: niedźwiedź, bóbr, wiewiórczeta, lis, wilk, zając i jeże i, kto tam je spamięta? Cały ów naród dziki, co w ciemnym, cichym boru ma skryte swoje leże.

I poszli. A śnieg padał i wciąż stał się po ziemi i lśnił w blasku księżyca kryształkami srebrnymi.

Szły zwierzątka z ochotą, niosły Panu swe dary: wiązkę liści na grzbiecie dźwigał zajączek szary, gospodarna wiewiórka niosła związanych w mieszku okrągłutkich, wybranych aż dwadzieścia orzeszków, kwiczoł worek z jałowcem dźwigał w ofierze Panu, szczygieł z trudem zebranych garść nasionek łopianu, jeź, na kolce nabite, niósł jabłuszka rumiane, chomik ziarenka pszeniczki, w żniwa skrzętnie zebrane. Stary niedźwiedź kudłaty kroczył dzielnie sam przodem, w wielkich łapach niósł dumnie plaster z leśnych pszczoł miodem. Hej idą, a śnieg pada. Idzie niedźwiedź na przedzie, kędy gwiazda złocista do Betlejem ich wiedzie.

I już przyszli. Przed żłóbkiem już klękają w stajence, pokłonili się



... a Jezusek paluszkciem im pogroził różanym.

kornie Przenajświętszej Paniencie i składają swe dary: listki zajączek szary, jeż jabłuszka rumiane, szczygieł garstkę nasionek, z wielkim trudem zebranych, lecz wilk stary, lis rudy nieco na boku stają i nie śmieją się zbliżyć do żłobeczka Dzieciny, boć nic złożyć nie mogą, żadnych ofiar nie mają, jeno zbrodnie przynieśli, jeno zbrodnie i winy. Z płaczem padli przed żłóbkciem i wyznali w pokorze przewinienia, spełnione w ciemnym lesie, w oborze, a Jezusek paluszkciem im pogroził różanym, więc poprawę przyrzekli i przyklękli przed Panem.

Weselili się wszyscy. Tylko niedźwiedź kudłaty coś markotnie się chowa w najciemniejszy kąt chaty; coś markotnie po głowie wielką łapą się drapie, krople miodu złotego spływają mu po łapie. I zawstydził się srodze i pochylił wśród płaczu, bo miód wyjadł po drodze.

Wzięła Święta Panienska plaster wosku żółciuchny, bury niedźwiedź się skłonił do stóp Bożej Matuchny.

— Już się nie martw, niedźwiedziu, kiedy świat się weseli, z wosku zrobią mi świecę jaśniejącą anieli. Pójdę nocą przez pola, białym śniegiem usłane i w boru z gromnicą zapaloną przystanę. Jeśli wilki zapomną o danej obietnicy, to im o niej przypomnę blaskiem gromnicznej świecy. A gdy burza, jak niedźwiedź, będzie ryczeć gromotami, światło gromnic uciszy gromy ponad chatami.

Więc ucieszył się niedźwiedź i w gorącej podzięce upadł kudłacz, jak długi, do stóp Świętej Paniencie. I znów radość serdeczna w całej szopce zagrała i śpiewali anieli:

— Chwała Panu! Hej, chwała!

Tak anioły śpiewały, świergotały ptaszęta, Jezus cieszył się mały, cieszyła Matka Święta.

A gdy nocką lutową śnieg na polach się ścieli, stanie Matka Najświętsza wśród zimowej pól bieli i w śnieżyste pustkowie i w zadymkę, zawieje błady płomyk gromnicy nad polami się chwieje. Gdy u budy niedźwiedziej płomyk gromnicy mignie, śpiący niedźwiedź kudłaty na swem łożu się wzdrygnie. W piersi bije się z żalem i tak płacze w swej norze, że aż echo z wiatrami płacz roznosi po borze. Lecz go co rok gwiazdeczka betlejemaska pociesza i łagodnym swym blaskiem w noc zimową rozgrzesza.

I co roku mu gwiazdka ową noc przypomina, jak się śmiała radośnie w żłobku Święta Dziecina.

Wanda Malicka.

NOC W POKOJU Z CHOINKĄ.

Za szybą, w niebie
skrzy się księżyc mroźnie.
W ciepłym pokoju choina pachnie,
jak las.

Dzieci śpią. Ktoś cicho i ostrożnie
z pod wierzchołka na podłogę zlazł...
Ach, kto to mógł schodzić, kto to?!
Cały zaplątany w złoto
Mikołajek w szubie z waty,
z siwą brodą i pękaty...
I djabełek czarny, kosmaty...

Świergotali tajemniczo pod
gałęzią niską:
— Czy dzieciaki pomeżone
aby mocno śpią?
Czy trafimy do zabawek,
czy łożeczka blisko?
— Tak się boję — rzekł djabełek —
aż mi różki drżą...
Na to dziaduś:
— Weźmy świeczkę,
latareczkę,



Mikołajek w szubie z waty...

rozjaśnimy mrok troszeczkę
i pójdziemy na wycieczkę...
Biorą z gałęzi latarkę,
kładą świeczkę do oprawki,
teraz zajądzą w każdą szparkę,
obejrzą nowe zabawki.
Jeden drugiemu poświęci.
I zobaczą śpiące dzieci!
Noc im, jak chwilka przeleci!
Za szybą w czarnym niebie
skrzą się gwiazdy mroźnie.
Pod sufitem szklaną gwiazdą
miga drzewka szczyt.
Z latarką, cichutko i ostrożnie
idą i szepczą: — Cyt... cyt...
Czarny rumak na biegunach
zastąpił im drogę,
a djabełek przez bieguny,
jak przez płotek: hop!
— Mój djabełku, czekaj trochę,
rady dać nie mogę,
jestem gruby w tej watówce
i ciężki, jak snop!
Szumią, szurają nóżkami,
głosem szemrzą jak gałązki.
Nachylili się nosami:
tu but widzą, tu podwiązki.
Wreszcie latarką czerwoną
błysnęli w buzię uśpioną...
Lecz gdy buzia się poruszy,

przykucają jak bez duszy...
I jeden coś pyta, coś gada
a drugi mu odpowiada:
— A która to jest Anka?
— Ta, co śpi na kolankach.
— A to kto?
— To Januszek.
— Czemu się trzyma za brzusek?
— Był drugi Mikołaj, z piernika,
jeszcze go gryzie i lyka...
— A ta, co tuli misia?
— To chyba Krzysia!
— A kto tutaj, Mikołaju,
śpi z minką, jakby był w raj?
— Poświęć! Poznają Jerzyka, to ten
co dostał konika.
A tu widzisz! Nos przy nosie!
Poznajesz lalkę i Zosię?!
Obie na poduszce z puchu,
jak aniołki śpią bez ruchu.
Na choince drzemią z nudów,
a tutaj jest tyle cudów!
Lecz za oknem w cichem niebie
mroźne gwiazdy gasną.
Pod sufitem strojny w gwiazdę
blednie drzewka szczyt.
Trzeba wrócić na choinkę,
zaraz będzie jasno.
Już Jezusek się urodził,
już na ziemiach świt...
St. Szuchowa.



Poznajesz lalkę i Zosię?!



OPLATEK NA OBCZYŹNIE.

Wąty, kruchy i biały
 przywędrował dziś do mnie
 z za morza...
 Ktoś najmilszy do listu
 go włożył,
 śląc go sercem najmilszem,
 kochanem,
 poprzez pola, śniegami
 zawiane,
 przez tumany, co idą
 od morza...
 A w mej dłoni opłatek
 ten ożył
 i czar wspomnień mi rzucił
 na duszę,

że go sercem wysłuchać
 dziś muszę.

A on szepce... Ożyły
 wspomnienia,
 gościa tego wzbudzone
 tchnieniem.

Dziś Wigilja... Tam w Polsce
 śnieg — zima...

Tylko w domu, wśród swoich
 mnie niema...

Ale, skoro pierwsze gwiazdy
 zaświecą,
 i ja sercem do Polski
 polecę.

M. A. KASPRZYCKA.

W NOC WIGILIJNĄ.

Ciemna nocka na dworze,
 siedzą wołki w oborze,
 patrzą w górę czasami
 okrąglami oczami.
 Bo tam w daszku obórki,
 w szarej słomie są dziurki,
 i, jak spojrzeć do góry,
 widać niebo i chmury.
 Patrzą złote gwiazd oczka:
 wigilijna to nocka.
 Oj, ode wsi tam, z brzegu
 kolenda się rozlega.
 Grają gęśle, skrzypczki,
 pastorałki — piosneczki,
 jakby biali anieli
 ponad wioską lecieli.
 Siwe wołki przy żłobie
 zataiły dech w sobie,

łbami wolno kiwiają,
 pocichutku gadają:
 — Ejże, bracie, pamiętasz?
 Toć to dzisiaj noc święta,
 toć to dzisiaj przed wiekiem
 Bóg się zrodził człowiekiem.
 Nim Go ludzie spostrzegli,
 nim pasterze się zbiegli,
 myśmy pierwsi w tej chwili
 Jezusika uczcili.
 Pocichutku tak spotem
 szepce sobie wół z wołem,
 bo tej nocy od wieka
 mówią mową człowieka.
 Płyną tędy, owędy,
 pastorałki — kolendy,
 patrzą złote gwiazd oczka:
 wigilijna to nocka.

ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA.



NIEZWYKŁA PODRÓŻ

OPOWIADANIE • FANTASTYCZNE • NAPISAŁ M. KRZEPKOWSKI.

18) ROZDZIAŁ PIĘTNASTY, W KTÓRYM POJAWIAJĄ SIĘ PTASZYSKA O POCZCIWYM WYGLĄDZIE BOCIANÓW.

W ciągu kilku godzin „Ewilit” w dość powolnym locie szybował nad rozległym lądem, stanowiącym morze zieleni. W miarę jednak, jak posuwali się coraz dalej na północ, zieleni zmieniała swój charakter. Widać było wyraźnie, że stopień wilgoci znacznie się zmniejsza, że rośliny nie są tak wybujałe, nie posiadają tak kolosalnych liści, ułatwiających im parowanie w wysokiej temperaturze południa. Szerokie rozlewiska, niby rzek, niby jezior, których zarysów nie było można ustalić wyraźnie, obejmowały coraz wyraźniejsze brzegi..

Coraz też częściej widzieli miejsca, pozbawione roślinności.

Mniej więcej w okolicach 40 stopnia północnej szerokości podróży ujrzeli łańcuch gór, zasnutych dymami. Nie ulegało wątpliwości, że było to pasmo gór wulkanicznych z całym szeregiem potężnych, bezustannie czynnych wulkanów.

Wybuchy te były tak potężne, że inżynier Milecki musiał wznieść „Ewilit” na znaczną wysokość, by przebyć barjerę dymów i popiołów.

Za pasem wulkanów widok zmienił się jeszcze bardziej. W okolicach 70-ego równoleżnika nie przypominał on niczem wybujałej roślinności podzwrotnikowej Wenus. Mimo mgieł, gęsto snujących się nad lądem, mimo spadających dość często ulewnych deszczów, podróżni mogli zachwycać się wielkimi połaciami łądu, pokrytymi barwnymi kobiercami wspaniałych kwiatów, o przepysznych kolorach, w których przeważała barwa czerwona.

— Zdaje się, że tu możemy zrobić popas — zauważył doktor Burlicz.

Profesor Knycz nakazał jednak jeszcze dwugodzinny lot, jeszcze bardziej zwolniony, by poczynić dokładniejsze obserwacje i wybrać jak najdogodniejsze miejsce lądowania.

Ewilici natrafili wreszcie na zakątek, wyglądający niezwykle powabnie. Była to kotlina, otoczona niewysokimi górami, pełna kwiecica, w której zaczynały się dwie rzeki o przejrzystej wodzie, spływające w dwóch różnych kierunkach: jedna na zachód, druga na południowo-wschód.

— To robi wrażenie zupełnie ziemskiego pięknego kąca dla amatorów pięknej natury i pragnących wypoczynku! Lądujemy tutaj!

Profesor wyraził swą zgodę i „Ewilit” wkrótce osiadł na równej polance u stóp stromej góry.

Była wczesna godzina popołudniowa. Deszcz nie padał, choć chmury pokrywały całkowicie niebo.

Opadły drzwi kabiny wejściowej i po chwili pierwszy człowiek z Ziemi, oddalonej o dziesiątki milionów kilometrów, stanął na glebie innej planety.

Był nim profesor Knycz.

Wciągnął w płuca powietrze. Było orzeźwiająca, takie, jakim oddychamy po orzeźwiającej burzy w skwarny letni dzień w lesisto-górskiej okolicy.

Profesor dał znak swym towarzyszom, że mogą śmiało wychodzić: atmosfera Wenus, zbadana zresztą przez Ziemiaków, nie groziła żadną niespodzianką, niebezpieczną dla płuc ludzkich.

Wyszli wszyscy jedno po drugim. Rozejrzeli się dookoła. Stali na obszernej polanie, pokrytej kwiatami o wielkich purpurowych kielichach, sterczących sztywno na grubych mięsistych szypułkach. Wśród tych kwiatów wił się strumień przeczyszczonej wody, wytryskującej w pobliżu z pod skały.

Nie było widać żadnego żywego stworzenia.

— Dziś świętujemy — powiedział profesor Knycz. — Od jutra czeka jednak nas praca. Musimy w czasie jak najkrótszym dokonać, ile tylko zdołamy, obserwacji i wyruszymy w drogę powrotną. Termin wyruszenia obliczyłem za 8 miesięcy. Okres czasu więc pozostaje niewielki, by zbadać wielki glob. Okolica ta wydaje się niezamieszkała przez żadne istoty, nikt więc nam nie będzie przeszkadzał gospodarować na tym skrawku planety.

Zanim jednak profesor skończył zdanie, podróżni ujrzeli nad górami wielkiego ptaka, czy raczej stworzenie, do ptaka podobne, gdyż obdarzone skrzydłami.

Po chwili ukazało się tych stworzeń więcej. Szybowały one bardzo wysoko i nie można było rozpoznać ich kształtu. Nie ulegało tylko wątpliwości, że stworzenia te zwróciły uwagę na „Ewilit”, zataczały bowiem nad miejscem lądowania Ziemiaków wielkie koła, to zniżając się nieco, to znów wzbijając się wyżej do tak znacznej wysokości, że niknęły w chmurach.

— Mamy tu jednak jakieś stworzenia — powiedział doktor Burlicz. — Jakies ptaszyska, zdaje się o pocziwym wyglądzie naszych bocianów.

„Ptaszyska o pocziwym wyglądzie naszych bocianów”, widocznie ośmielone nieruchomą postawą Ziemiaków, poczęły zataczać coraz niżej kręgi nad ich głowami i teraz można było przypatrzeć się dokładnie ich niezwykłemu wyglądowi.

Wśród szeroko rozpiętych błoniastych skrzydeł, coś nakszałt nietoperzych, błyszcząco nagie, niczem nieokryte ciało. Szeroki tułów o silnie rozwiniętej klatce piersiowej posiadał jeszcze jedną parę górnych kończyn, które „ptaszyska” gestykułowały zawzięcie. Na tułowiu



Wybuchy te były tak potężne...

obracała się na giętkiej, choć niedługiej szyi niewiele co większa od ludzkiej głowa, zaopatrzona w dwoje wielkich oczu. Kończyny dolne „ptaszyska” miały podwinięte, czy podkurczone, a w każdym razie bardzo przypominające odnóża ludzkie.

— Oho! — zawołał doktor Burlicz — to całkiem do czegoś podobne stworzenia! Ale jak się tu one uchowały wśród tych potwornych owadów?! Fruwają bardzo zwinnie. Chyba to ich ratuje.

— Trzeba się z temi stworzeniami porozumieć, o ile posiadają jaką inteligencję.

— Witają nas, jak Rzymianie — powiedział Jacek, patrząc, jak „ptaszyska” kierują ku nim swe ręce o szeroko rozczapierzonych długich palcach.

— Może i witają... — pokręcił głową doktor. — Albo szykują szpony do ataku.

— Ich ręce nie wyglądają na szpony.

— Niema możliwości innego porozumienia się, jak zbudowanie jakiejś prostej figury geometrycznej. O ile są to stworzenia inteligentne, domyśla się, że nam też inteligencji nie brak — powiedział profesor Knych.

Natychmiast pod przewodnictwem profesora podróżni zgromadzili kilkanaście większych odłamków skalnych i ułożyli w znacznej odległości od „Ewilitu” trójkąt, koło, czworokąt i pięciokąt. Po dokonaniu tego skryli się w „Ewilicie”, by swą obecnością nie odstraszać „ptaszysk”. Zajęli jednak miejsca przy oknach i z ciekawością obserwowali zachowanie się niezwykłych istot.

Dalszy ciąg nastąpi.



Mamy tu jednak jakieś stworzenia...

PAMIĘTNIK CHINKI.

18)

Spisata Ebrem.

Matka moja patrzyła, prawie zdrętwiała od trwogi. Rozumiała, że i nas to samo spotkać może.

Czas jakiś upłynął dla nas bez bliższych wiadomości od Hotoi. Potem dowiedziałyśmy się od jej znajomej, że ją i jej dzieci zabrał do siebie jakiś rękodzielnik z Kantonu, który je zakupił.

— Nielekkie będzie tam miała życie! — mówiła owa kobieta. — W bogatych domach nieźle czasem obchodzą się ze sługami i niewolnikami, ale w uboższych często strasznie ich męczą!

Prawdę tych słów potwierdziła nam sama Hotoja, która zdołała się pewnej nocy wymknąć do nas na chwilę.

— Pracować trzeba od rana do nocy! — mówiła żałośnie. — Ale mniejsza byłoby o to, bo przecież i w domu tak było. Tylko, że nigdy ich nie możemy zadowolnić! O byle co zaraz bambus spada na plecy! Widzicie, jakie mam ślady od tych uderzeń! I moja Paotse tak samo.

— A Hinhang? — spytałam.

— Hinhanga niema. Zaraz, po kilku tygodniach gdzieś przepadł. Nie wiem, czy uciekł, czy też go uśmiercili gdzie skrycie, bo właściciel nie mógł go cierpieć za upór i zuchwalstwo i bił od rana do wieczora.

— To pewno uciekł — rzekła moja matka. — Hinhang nie taki, żeby umiał znieść cierpliwie złe obejście.

— Lepiej było je znosić, niż umrze z głodu — odparła ze smutkiem Hotoja. — Przecież taki malec nie da sobie rady i nic go dobrego spotkać nie może.

— A z moim mężem nie wiesz, co się dzieje? — pytała matka.

— Cóż się ma dziać? Pali w dalszym ciągu. Wukotu go widuje. Lada dzień to samo spotka was obie, co i nas.

— Przyrzeknij mi — mówiła błagalnym głosem matka, — że jak stanie się z nim coś... nowego, coś... niezwyčajnego, i dowiesz się od brata, to zaraz nam dasz znać.

— Przyrzekam — odpowiedziała Hotoja i odeszła, zostawiając nas w zupełnem przygnębieniu.

W kilka dni później przybyła znów z wielkim lamentem, opowiadając, że żona ich właściciela tak mocno uderzyła bambusem jej córkę, że jej rękę złamała.

— Sama na tem najgorzej wyjdzie, bo już Paotse nie będzie mogła tyle dla niej robić! — mówiła Hotoja.

Dalszy ciąg nastąpi.

I PRAWDA I BAJKA.

Baśń wierszowana w trzech aktach.
Napisata Zofja Koskowa.

6)

KRÓL.

Co? mamusi?

HANIA.

No tak, mamy.

KRASNOLUDEK I.

Powiedz, co to jest takiego?

KRASNOLUDEK II.

Wcale nazwy tej nie znamy.

HANIA.

Nie rozumiesz, co to mama?
 Nie wiesz, co to może znaczyć?
 jakże ci to wytłumaczyć.
 Oto widzisz, dobry królu,
 ty masz skarby i dostatki,
 Już, doprawdy, nie wiem sama,
 lecz ja zato mam coś więcej:
 kochające serce matki.

(Muzyka)

Choćby była najbiedniejsza,
 chociaż chleba jej brakuje,
 to tem, co jest w niej najdroższe,
 swoje dziecko obdaruje.
 Bo swem sercem je wzbogaci,
 ukocha, w trosce pomoże,
 kto TO serce już utracił,
 ten bogatym być nie może!
 Czyjeż oczy prośbę Bogu
 pod niebiosą wysyłały?
 Czyjeż wargi nad kolebką
 codzień pacierz odmawiały?
 Kto mi nucił piosnki w nocy,
 kiedym jeszcze była mała?
 Czyja dłoń, gdym spać nie mogła,
 cicho do snu kołysała?
 Czyje usta mnie modlitwy
 codzień mówić nauczyły?
 Czyje dłonie, gdy mi zimno,
 ógrzały i utuliły?
 Jeśli drogie ręce mamy
 suche kromki chleba dały,
 dobre słowo jej sprawiło,
 że mi lepiej smakowały.
 O, to drogie, wierne serce
 tyle mi dobrego dało,
 że, gdy chciałabym odplacić,
 życia byłoby za mało.
 Ono zawsze mnie pociesza,
 gdy mam troski, czy zmartwienia
 i z pomocą im pośpiesza,

w uśmiech smutki zawsze zmienia.
 O, kochane krasnoludki,
 są tu skarby i dostatki,
 lecz nie macie największego:
 brak wam serca dobrej matki.

(Muzyka przestaje grać)

Za brylanty, ni za złoto
 i — powtarzam, za dostatki,
 ja nie oddam tego oto
 bijącego serca matki.

KRÓL.

Nie zostaniesz, widzę, z nami,
 no, więc ja ci dopomogę.

(Wskazuje na krasnoludka I i II)

Oni ciebie zaprowadzą
 na szeroką leśną drogę,
 żeby jednak w nocy, w lesie
 złęgo ci się nic nie stało,
 dam ci lustro do pomocy;
 może przydać się niem mało!
 Gdy w tem lustrze kto się przejrzy,
 jeśli kłamał, to się zmienia,
 fałsz, obluda z niego spada
 i wiesz, z kim masz do czynienia.
 A gdy znowu z drugiej strony
 kto odbije swoją postać,
 ruszyć z miejsca się nie może
 tam, gdzie stał, tam musi zostać.

HANIA.

O, dziękuję!

KRÓL.

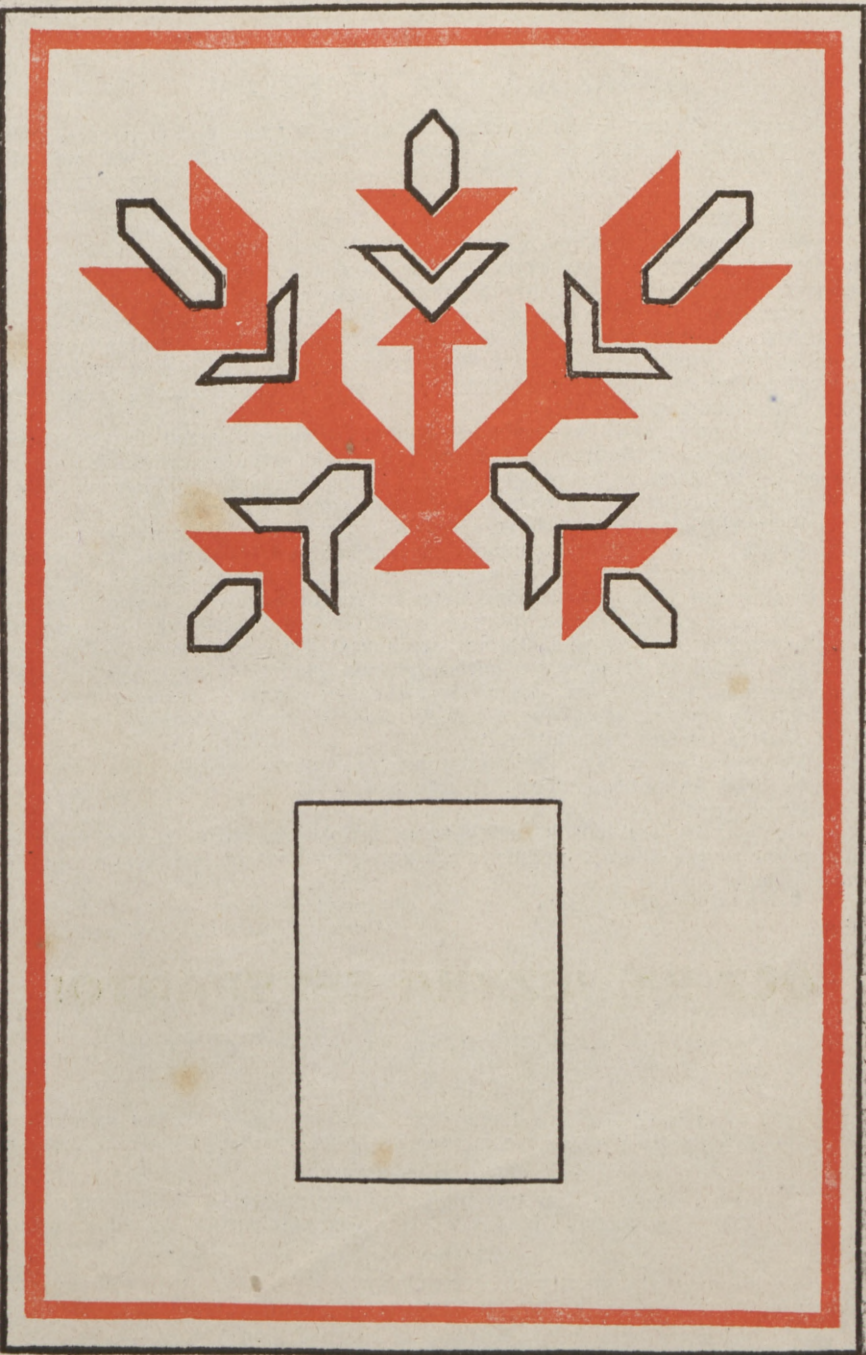
Niema zaco;
 wierzaj, z żalem cię żegnamy.
 W domu powiedz, że serdecznie
 twoją mamę pozdrawiamy.
 Jeśli zechcesz nas odwiedzić,
 zawsze cię tu ugościmy.
 No, a teraz, zanim pójdziesz,
 to dla ciebie zatańczymy.
(Taniec w takt muzyki i kurtyna opada).

Dalszy ciąg nastąpi.

ŚCIANKA DO KALENDARZYKA.

Zamiast nabywać kalendarzyk do zdzierania wraz ze ścianką, spróbujcie zrobić ją sami według załączonego wzoru na sąsiedniej stronie. Robota ścianki do kalendarza nie sprawi Wam dużej trudności. Przerysowujemy wzór na przezroczystą kalkę, a z kalki na biały brystol w dobrym gatunku (np. „Monopol”). Następnie należy wzór starannie wymalować wodnymi farbami, dobierając kolory według własnego upodobania. Komu zależałoby na specjalnie dokładnem wykonaniu wzoru, niech przed malowaniem obwiedzie kontury wzoru grafjonem, napuszczając do niego farbę odpowiedniego koloru. Gdy wzór mamy już namalowany, wówczas naklejamy brystol na tekturkę tej samej wielkości i w oznaczonym prostokącie przy-mocowujemy kalendarzyk do zdzierania. Na zakończenie przyklejamy z tyłu ścianki pętelkę z mocnej bawełny, służącą do zawieszania kalendarzyka.

Halina Świdzińska.



SCIANKA DO KALENDARZYKA.

GWIAZDKA DLA PTASZKÓW.

Zaraz po Trzech Królach gałązki choinki się kurczą, igielki opadają, śmiejąc podłogę, zabawki stają się jakieś nieswieże, łakoci ani śladu, bo wszystko zjedzone, aż wreszcie jednego dnia Mamusia każe choinkę rozebrać i wędruje ona na podpałkę. Jakież marny koniec tej cudnej, wysnionej choinki!! Aż się płakać chce na samą myśl o tem.

Ale jak na wszystko, tak i tu jest rada, aby do takiej ostateczności nie doszło. Oto zużyta choinka, ale jeszcze w tym momencie, gdy igły nie leżą (mniej więcej w tydzień po świętach) może przez długie miesiące wystawiona na dwór służyć ptaszkom, jako schron, punkt oparcia i stół do uczt. Przy odrobinie dobrej woli dziecka choinka nasza może dać biednym, zgłodniałym i zmarzniętym ptaszkom radość, ciepło i obfity stół świąteczny. Czy to nie piękne zakończenie życia, poczętego w ciemnym borze, potem w jasnym pokoju żarzącego się światłem i pięknymi zabawkami?!

Uwolnioną ze świeczek i zabawek choinkę ustawiamy przed domem lub prosto na balkonie i zdobimy ją tem, co lubią ptaki, a więc zawieszmy: pęki suszonych jagód jarzębiny, głogu, bzu czarnego, ligustru i t. p. Wieszamy kawalczki słoninki lub też skórek słoninowych, toju, szmalcu, kości i t. p.

Połówki skorupki orzechów włoskich (gromadzone skrzętnie w tym celu przez święta) zalewamy następującą mieszaniną: należy roztopić lój wołowy w garnku i następnie wsypać do niego ziarn konopi, maku, suchego chleba lub bułki w takiej ilości, aby wymienione materiały razem stanowiły połowę ilości toju. Gdzie niema orzechów, można tą masą wypełnić małe pudełeczka lub prosto oblać tą masą gałązki. Masa ta teżże natychmiast. Do przygotowanej w ten sposób choinki przylecą najpierw najśmielsze ptaszki, obejrzą ją na wszystkie strony i, gdy przekonają się, iż drzewko nie jest dla nich pułapką, zaczną je codziennie gromadnie odwiedzać, udzielając o tem wiadomości innym ptaszkom, które będą nawet zdaleka do niego przylatywały.

Przy dbałości o takie drzewko i przy zastępowaniu zjedzonych zapasów świeżemi, drzewko może przetrwać aż do wiosny i uchronić od zmarznięcia tysiące skrzydlatych rzesz.

No, i czy w ten sposób użytkowana choinka nie może stać się dla dzieci źródłem radości na długie tygodnie, a dla ptaszków opatrnością, która ratuje od zimna i głodu?

Pamiętajmy, aby w tym roku nie zmarnowało się ani jedno drzewko wigilijne.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

UCZ SIĘ JĘZYKA ESPERANTO!

LEKCJA IX.

KTO — CO? KOGO — CO?

- I. *Kto to jest? — To jest mój brat. Co to jest? — To jest maszyna.*
- II. *Kogo widzę? — Widzę mojego brata. Co widzę? — Widzę maszynę.*

To samo po esperancku:

- I. *Kiu tio estas? — Tio estas mia frato. Kio tio estas? — Tio estas maŝino.*
- II. *Kiun mi vidas? — Mi vidas fraton. Kion mi vidas? — Mi vidas maŝinon.*

Z tego nauka, że:

I. Jeżeli się w Esperancie o coś pytamy: kto — co? (kiu? kio?), to otrzymujemy w odpowiedzi wyraz, kończący się na „O” (patrz Lekcja III).

II. Jeżeli zaś pytamy się: Kogo — co? (kiun? kion?), to wówczas do tego „O” dodajemy jeszcze końcówkę „n”. Jest to tak zwany w gramatyce 4-ty przypadek czyli biernik, podczas gdy tamten nazywał się pierwszy przypadek czyli mianownik.

A więc reguła: Mianownik kończy się w Esperancie zawsze na „O”.
Biernik kończy się zawsze na „ON”.

ĆWICZENIE: 1) Frato amas sian fratino — Brat kocha swoją siostrę (Kto kocha? brat, kogo kocha? siostrę). 2) Kion mi diras, tio estas vera — Co (ja) powiadam, to jest prawdziwe (Co jest prawdziwe? to, co powiadam. „Co powiadam” jest biernikiem, „to jest prawdziwe” — mianownikiem).

Dosyć, bobyśmy się bardzo zmęczyli.

KALENDARZYK PRZYJACIÓŁ ZWIERZĄT.

STYCZEŃ.

Zanim przyjdą większe mrozy, trzeba zabezpieczyć mieszkania zwierząt od zimna. Jeśli ściany zbyt cienkie, trzeba je ogacić. Poza tem trzeba słać obficie słomę.

Ptaszkom sypie się ziarenka i okruszyny. Należy pamiętać o tem, że każda zmarnowana okruszynka, to krzywda ptaszków, nie można więc pozwolić, aby się cokolwiek marnowało. Styczeń to zwykle najcięższy miesiąc dla leśnej zwierzyny. Przyjaciel zwierząt nie zapomina również i o sarnach, zajęcach, kuropatwach i t. p. i wynosi im na skraj lasu troszkę koniżyny, siana, lub garść ziarna.

O F I A R Y.

DLA SIEROT PO POLEGŁYCH WOJSKOWYCH.

Dzieci ze szk. powsz. w Dębinach — zł. 2.95.

DLA DZIECI OCIEMNIAŁYCH W LASKACH.

W dniu imienin kierownika szkoły członkowie Kółka Różańcowego przy szkole Nr. 70 — 3 zł.

NA L. O. O. P.

Szkola powsz. w Sosnowicach — zł. 2; Gmina szkolna, kl. V i VI, Pohost Zahorodzki — zł. 2.45; Dzieci szkolne w Nowej Wróblinie — zł. 2.25; Szk. żeńska im. Kr. Jadwigi w Grybowie — zł. 2.74.

WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1933/34:

	Miesięcznie	Kwartalnie	Rocznie	Nr. poj.
„Płomyk”	1 zł. 50 gr.	4 zł. 50 gr.	14 zł.	40 gr.
„Płomyczek”	1 zł. 20 gr.	3 zł. 50 gr.	11 zł.	30 gr.
„Płomyk” z „Płomyczkiem”	2 zł. 30 gr.	6 zł. 50 gr.	21 zł.	60 gr.

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie № 35
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6).

Dla prenumeratorów warszawskich biuro administracji ul. Świętokrzyska 18.
Nr. telefonu administracji 5.22-18, redakcji 5.38-26. Konto czekowe P. K. O. 6880.
Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JÓZEF WŁODARSKI.
Redaktorka—HELENA RADWANOWA. Kierownik artystyczny—MICHAŁ BYLINA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.

PROMYK



SNIEŻNA DROGA.